

Nazywam się Tyrania

Jerzy Broszkiewicz: „Imiona władzy“. Sztuka w trzech jednoaktówkach. Inscenizacja i reżyseria: Lidia Zamkow. Scenografia: Andrzej Sadowski. Muzyka: Tadeusz Baird. Prapremiera w Teatrze Dramatycznym m. st. Warszawy w dniu 18 września 1937 r.

POWIEDZIAŁBY zapewne Freud, że gnębi nas kompleks polityczny — swoisty rodzaj nie dającej spokoju obsesji. Istotnie gnębi i istotnie nie daje spokoju. Bo przecież zrodził się on na tle niedawnych i wciąż jeszcze nie ostygłych przeżyć, które objęły sferę naszych uczuć, doznań, myśli.

Dlatego współcześnie odczytujemy krwawe dramaty starego Szekspira i nieprzypadkowo w ciężkiej moralnej rozterce Hamleta dostrzegli niektórzy dylemat moralny, przed jakim niejednokrotnie w przeszłości stawali uczeni i komuniści. Dlatego żywą, wyrwaną jakby z naszych dramatycznych rozważań byłaby dziś stara sofoklesowska historia sporu między Antygoną a Kreenem.

Wprawdzie cały współczesny teatr światowy jest dziś oceniany jako teatr przede wszystkim walczący przeciwko nieprawościom politycznym i samowoli władców — to jednak my mamy szczególny powód, by temat „nigdy więcej“ absorbował naszych twórców do głębi i nie dawał spokoju. I nie dziwny się, że każe on naszym pisarzom wydobywać wciąż jeszcze świeżą gorycz i słowa serdeczną krwią i żółcią pisane.

Nasza obsesja polityczna dotyczy problemów władzy, zakresu jej działania, racji władzy i racji jednostki, problemu obiektywnych racji historycznych i racji moralnych z tamtymi skłóconych.

Jeszcze długo literatura i dramaturgia będą mówiły o sprawach przeszłości z dużym publicystycznym zacietrzewieniem, słowami do głębi wzburzonymi i pełnymi pamfletowego żaru.

Jak Broszkiewicz w „Imionach władzy“.

Jeszcze długo sprawy współczesności żywo nas obchodzące będą przekazywane za pośrednictwem obrazów pozornie historycznych.

Tak jak u Broszkiewicza.

Zresztą literatura i dramaturgia o ambicjach politycznych — gdy temat był jeszcze świeży bądź z różnych powodów nie nadawał się do ukazania we współczesnej scenierii — bardzo często zwracała się do przeszłości, szukając w niej żywotnych analogii. Historia literatury czy teatru mnóstwo na to przykładów dostarcza — choćby historyczny „Hernani“ Wiktora Hugo czy zapowiadające Rewolucję Francuską również historyczne „Wesele Figara“.

Do przeszłości zwraca się również Broszkiewicz. Jest dlań ona pretekstem i tylko pretekstem.

Z przeszłości rzymskiej, w której umieszcza akcję pierwsze jednoaktówki, wydobywa problem władzy i budowania przez nią silnego, wielkiego i głoźnego imperium za wszelką

cenę. Władzy, która w każdej chwili gotowa jest rzucić swe legie i kohorty do stłumienia buntu ludu w jakiegokolwiek prowincji. Władzy, dla której nie istnieje człowiek, a jedynie posłuszny, najczęściej zmuszony do posłuchu wykonawca każdego rozkazu, najczęściej nie liczącego się z życiem ludzkim, mimo iż w konkretnej sytuacji można byłoby je oszczędzić. Władzy, która głos sprzeciwu w imię owego człowieka — głos wyrażany tu przez konsula Kwintusa — ocenia w myśli rękoma wyższych racji historycznych jako zdradę i jako zdradę ex-trybuna powszechnie obwołuje. Z przeszłości hiszpańskiej przedstawionej w jednoaktówce „Filip“, wydobywa Broszkiewicz ten sam problem władzy, lecz przedstawia go w innym politycznym wariancie.

W obu jednoaktówkach obie władze noszą jednakowe imię: Tyrania, i w obu pisarz staje po stronie ludzkich, humanistycznych, moralnych racji jednostki.

W jednoaktówce trzeciej imię władzy jest takie samo, lecz już nie mechanizm rozumowania i tyranii władców jest tu przedstawiony, a to, co stanowi praktyczne ukoronowanie rządów tyranii: więzienie i ludzie w nim niesłusznie zamknięci, ludzie, którzy są tylko numerami. Akcja dzieje się we współczesnym, nie określonym bliżej kraju. Skojarzenia są tu szczególnie bliskie i szczególnie bolesne.

Zawarte są tu bowiem echa fałszywych, w imię wyższych racji przeprowadzanych, procesów, których mechanizm pokazał autor na przykładzie przewodu sądowego, jaki zaimplementowali więźniowie. Są tu analogie żywo przywołujące na pamięć okres sprzed ośmiu laty, kiedy zaczęła się jedna z najgłośniejszych, najbardziej dramatycznych spraw, której tu symbolem jest ów Murena.

I tu są wreszcie echa naszych najbliższych dni — gdy rozsuwają się więzienne kraty i ponumerowani ludzie wychodzą na wolność.

Akcent optymistyczny, choć najsłabiej artystycznie umotywowany, zamyka ów teatralny przewód na temat władzy, środków jej

utrwalania i budowania jej wielkości, przewód, w którym sam autor występuje w roli obrońcy człowieka, jego praw i jego życia przed tyranią.

Mowa obrończa Broszkiewicza nie jest jednak mową, w której przedstawi on pełny wymiar wszystkich „za“ i „przeciw“ w owym sporze racji jednostki i racji władzy. Owe „za“ w imię jednostki, w imię jej wolności jest, niestety, dość blade i słusznie ktoś podkreślił, że jest to „za“ w imię wyłączonego z nurtu historii małego, szarego człowieka, w imię jego ciasných marzeń o spokojnym życiu z dala od konfliktów epoki.

Poza tym Broszkiewicz bardzo często prezentuje tu tylko szkice jakiejś sprawy, ledwie ją zaznacza, ledwie ogólnikowo rysuje sylwetki i sytuacje, tak jakby nakłuiwał jedynie bolesną ranę zamiast dokonać radykalnego, chirurgicznego cięcia. Publicystyczna skłonność daje o sobie znać szczególnie mocno w ostatniej jednoaktówce. I tylko pisarski temperament, duże napięcie uczuciowe po części wypełniają liczne tu, niestety, puste artystycznie miejsca.

To pewnie, że Broszkiewicza wydatnie wspiera inscenizacja. Reżyseria jest bowiem bardzo pomysłowa, inteligentna, w sposób przejrzysty układa sytuacje, punktuje kwestie, buduje jasną metaforę. Przedstawienie jest niewątpliwie sukcesem Lidii Zamkow. Ale też i scenografa, który zaprojektował metaforyczne dekoracje świetnie współgrające z akcją.

Aktorzy nie mieli tu specjalnego pola do popisu poza dwiema tytułowymi rolami — Klaudiuszem w dobrym wykonaniu Macieja Maciejewskiego i Filipem w świetnej kreacji Swiderskiego. Halina Mikołajska w jedynej tu roli kobiecej — roli nadwornej kurtyzany Margit — czuła się nieswojo w obcisłych czarnych trykotach i zachowywała się tak, jakby za wszelką cenę chciała ukryć się przed wzrokiem widowni.

Jeremi Czuliński